DOM I SZKOŁA

ROK II. * * * 1931 R. * * * NR. 1

W ślad za Gwiazdą

Kiedy w stajence lichej, złocistą krytej słomą, narodził się Pan Jezus, na firmamencie zalśniła cudna gwiazda.

Ujrzeli ją pasterze, wpatrzyli się w jej blask... a ona, sunąc zwolna po bezkresie nieba doprowadziła ich do stóp Zbawcy, który ich czekał z utesknieniem.

Ujrzeli ją i Trzej Królowie. Daleko od Betleem — na wschodzie — żyli oni, czekając na przyjście Zbawiciela, który odkupi świat... oczekując gwiazdy, która oznajmi światu narodzenie Zbawcy — Trzej Królowie trwali w nadziei ujrzenia Go.

I oto — kiedy gwiazda zalśniła przed ich oczyma, upadli na twarz, wielbiąc Boga... a potem zebrali się i poszli za jej śladem...

A chociaż gwiazda zniknęła im z przed oczu u bram Jerozolimy, choć Herod zapewnił ich, że niemasz innego Króla — oprócz niego — oni nie uwierzyli, bo wzrokiem duszy widzieli ją, bo wierzyli w to, że, co Bóg rozpali, człowiek nie zdoła zagasić.

I oto po wyjściu z miasta spotkali ją. Czekała na nich u wrót Jerozolimy i znów powiodła w dal — do Betleemu, kędy w stajence lichej, złocistą krytej słomą, czekał ich Chrystus Pan.

Upadli przed Nim na twarz, złożyli mu swe dary: złoto, kadzidło i mirrę, wielbiąc w Nim Króla, Boga i Człowieka.

A gwiazda, która ich przywiodła płonęła nad stajenką.

— — — — — — — — — — — — — — —

Kobiety, Matki!

Człowiek, jak kwiat do życia potrzebuje światła i ciepła, chleba i nieba. Światła, aby nie zbłądził w mrokach niedoli, „bo życie bez słonka nie warte jest nic", a noc bezgwiezdna smutek roznieca w duszy; ciepła, aby nie zamarzł w zimnych objęciach świata — szczerych serc, bratnich ramion, które mu niosą pomoc; chleba i nieba — owoców ziemi i Bożych łask, darów nadprzyrodzonych.

Każdy z nas ma i musi mieć cel w życiu... musi mieć przekonanie, że jest potrzebnym. Każdemu musi przyświecać gwiazda przewodnia, która rozjaśni mu wędrówkę życia, i wskaże cel, przywiedzie nas do niego.

Gwiazdą przewodnią kobiety — Polki, matki chrześcijanki-katoliczki, jest wiara; ta gwiazda, stworzona nad dachem stajenki betleemskiej musi nas wieść do Boga. Przez mroki życia, otchłań nędzy, wśród cienia trosk, trudów i borykania się ze światem, sobą, ludźmi — ta cudna gwiazda ma nas prowadzić w dal — tam, kędy Jezus mały, biedny, jak my, smutny, jak my, głodny, zziębniety i otoczony zastępem możnych wrogów czeka, ażeby nas pocieszyć, pobłogosławić, nauczyć cierpliwości i ogrzać ciepłem swej miłości.

A jeśli kiedy gwiazda wiary skryje się nam, jeżeli zniknie, jak Trzem Królom u bram Jerozolimy — to wtedy wytężmy wzrok naszej duszy, powierzmy los swój dłoni Boga; ufajmy w to, że gwiazda lśni, że czeka nas u wrót; przywiedzie nas do Boga, który spuścił na nas bolesne doświadczenie, by się przekonać o mocy naszej wiary.

Kobiety, Matki!

W ślad za gwiazdą, czyli za wiarą i religją, Kościołem i Jego nauką mamy iść... nie same... Wiarę naszą przelejmy w serca naszych dzieci. Niech płonie w nich; niechaj im świeci; niech ogrzewa maleńkie serduszka, aby w nich rosły, zakwitły kwiaty anielskich cnót.

U stóp Jezusa zrodzonego w stajence lichej, złocistą krytej słomą, złóżmy swe dary: złoto serc — naszych i naszych dzieci — kadzidło uwielbienia, hołdu i czci i mirrę naszych trosk, bólów, pracy i ubóstwa.

On jako Król — przyjmie nas do swej chwały, jako Bóg — pocieszy i pobłogosławi, a jako Człowiek — zrozumie i odczuje każde drgnienie naszego serca.

Na ręce Matki Najświętszej, cierpiącej na widok niedoli Swego Syna złóżmy swe dary i prośmy Ją... prośmy gorąco, ażeby gwiazda wiary świeciła zawsze naszym dzieciom tak jasno, aby nie zbłądziły w ciemnościach złego świata, w mrokach grzechu i zepsutej ludzkiej natury.

St. Siemińska.

Co warte drobnostka?

Pogadanka noworoczna.

— Zdrowia i powodzenia na ten Nowy Rok! — życzą sobie dziś wzajem ludziska. Błogie to życzenie, ale czego trzeba, aby się spełniło? Oczywiście przedewszystkiem łaski i opieki Bożej, o którą modliliście się pewnie serdecznie dziś rano, ale i my sami czemś przyczynić się musimy, od tego dał nam Pan Bóg rozum i poczciwe zastanowienie.

A więc posłuchajcie i zastanówcie się na chwilę, a sami przyznacie, że gdy chcemy, by nam się dobrze w życiu powodziło, musimy dawać baczenie nietylko na rzeczy wielkie, ale i na drobnostki.

Zdrowie nasze naprzykład zależy od wielu rzeczy pozornie mało znaczących, a przecie bardzo ważnych. Drobnostką wydaje się, czy drzwi lub okna otwarte, czy też zamknięte. Ileż to ludzi nie ma zwyczaju drzwi za sobą zamykać, a potem się dziwią, skąd darcie w kościach i strzykanie w uszach. Drobnostką się wydaje gosposi, że polewa odprysła w garnku lub rondelku, ale z takiej cząsteczki polewy, spożytej przypadkiem w potrawie, wywiązuje się zapalenie ślepej kiszki, na które tylu ludzi umiera. Próżno matka upomina: nie rzucaj pestek na podłogę. Młody nie słucha. Ale kto się na pestce pośliznie i stłucze tuzin talerzy, tego dobrze kieszeń zaboli, a choćby upadając tylko guza nabił na czole a uniknął złamania ręki, wraz zrozumie, że mała rzecz może być przyczyną wielkiego nieszczęścia.

Tak samo i powodzenie w pracy zawisło od rozumnej baczności na wszystko, zaś my żyjemy dziś w takim pośpiechu i roztargnieniu, że, powziąwszy jakiś zamiar, często ani czasu nie mamy obmyśleć, jaką drogą możnaby najlepiej cel osiągnąć. Daremnie rozsądek nawołuje: zatrzymaj się, zastanów! — mówimy sobie: ej, ktoby tam zważał na takie drobnostki, jakoś to będzie — i pędzimy do celu naoślep, jak ćma do lampy, a wtem potykamy się na drobnej przeszkodzie i cały zamiar bierze w łeb.

Wiezie Jan Bystroń furę koszyków do miasta, tam dziś targ i ostatni termin płacenia podatku. Wczoraj wieczór późno skończył robotę, dziś trochę zaspał, nie było czasu koni opatrzyć. W drodze łysa gubi podkowę, do kuźni daleko, a kowal ma żonę chorą, trzeba go dopiero przywołać. Tyle to czasu żmudziło, że Bystroń ostatni przyjeżdża do miasta, powierza furę znajomemu i pędzi do urzędu. Tam tłok i ścisk, ludzie sobie na pięty włażą i swarzą się, wreszcie kasjer zamyka okienko ze słowami: trzeba było przyjść wcześniej. I wraca człek do domu zafrasowany, bo cały dzień zmarnował, koszyków nie sprzedał, z tym podatkiem będzie kłopot, a wszystko przez taką drobnostkę, przez ten gwóźdź, co wypadł z podkowy.

A ile ludzie przez takie drobnostki tracą pieniędzy, to tylko posłuchajcie, bo to prawdziwa przygoda. W naszem sąsiedztwie na folwarku wrota od obory i kurnika otwierały się same, bo zamek był bylejaki. Za kilkadziesiąt groszy można było złemu zaradzić, ale gospodarz mało na to zwracał uwagi. Co chwila ktoś wchodził i wychodził, a że nie można było dobrze wrót zamknąć, więc ciągle coś z drobiu ginęło. Pewnego dnia tłusty prosiak wymknął się za wrota i pobiegł w pole. Spostrzeżono to, i cała rodzina wraz z parobkiem i dziewką puścili się w pogoń za zbiegiem. Parobek pierwszy dopędził prosiaka, ale gdy mu chciał zabiec drogę, skoczył przez rów tak nieszczęśliwie, że zwichnął nogę i dwa tygodnie w łóżku przeleżał. Gospodyni, wróciwszy z pogoni do domu, zastała spaloną bieliznę, którą właśnie w kotle gotowała. A że dziewka w pośpiechu zapomniała poprzywiązywać krowy w oborze, więc jedna z nich złamała nogę źrebięciu, które się tam przypadkowo znajdowało. Wartość spalonej bielizny, koszta leczenia parobka, na którego miejsce trzeba było przyjąć pomocnika, wyniosły około 500 zł, źrebię z dobrej rasy mogło kosztować niemal drugie tyle, tak więc w przeciągu kilku minut stracono tak znaczną sumę, a to jedynie dla braku małej klamki, którą można było kupić za kilkadziesiąt groszy.

Najlepszym przykładem wartości drobnostki jest grosz. Jakiż użytek z tego małego kawałka miedzi? na co się przyda? co można zań kupić? Nawet żebrakowi dać nie można, bo się obrazi. A przecie zagranicą z groszowych składek powstają miljonowe fundusze dla popierania celów religijnych, dobroczynnych, oświatowych i społecznych. A u nas jakże często pokutują ludzie, co nie umieli dobrze spożytkować tego grosza! — Kto cały swój zarobek z rąk wypuszcza, ten przy swej ciężkiej pracy nie zazna nigdy wytchnienia. Przeciwnie, jeśli umie tak ograniczyć swe potrzeby, że każdego tygodnia parę groszy odłoży, trochę do kasy schowa, trochę na nieprzewidziane wydatki zatrzyma, wnet spostrzeże, że warto było zbierać ziarnko do ziarnka, bo i w domu większa wygoda i biedniejszego jest czem wesprzeć i nie tak straszną myśl o szarej godzinie.

A więc, mili Czytelnicy i Czytelniczki, zdrowia i powodzenia na ten Nowy Rok! **M. K.**

Karnawał

Na ratuszowej wieży Krakowa wybiła godzina szesnasta.

Rynkiem z teczką pod pachą idzie pan Karol, idzie wolno, znużenie maluje się na jego bladej twarzy, oczy zapadnięte, ciemne sińce pod oczami, niegdyś czarne jak heban włosy przyprószone przedwczesną siwizną. Nikt nie poznałby w idącym dowcipnego, wesołego pana Karola, który tak niedawno, bo zaledwie sześć lat temu, przedstawiał obraz tężyzny, życia i zdrowia. Pan Karol mija jedną ulicę i drugą, wreszcie wchodzi do bramy i kieruje swe kroki do jednej z bocznych oficyn.

Na spotkanie tatusia wybiega do kuchni mała Halusia, jego jedyna ukochana córeczka. Halusia ma jasne włosy matki, wielkie czarne oczy, takie same jak tatuś; w jej maleńkiej postaci maluje się dziwny spokój i jakaś nad wiek powaga.

— Jesteś wreszcie, tatusiu — mówi Halinka, wspinając się na paluszki, by pocałować tatusia.

Pan Karol kładzie na krześle teczkę i kapelusz, wysoko podnosi dziewczynkę i tuli ją długo i serdecznie.

— Byłaś na przechadzce, maleńka?

— Nie, bo niania nie miała czasu, musiała sprzątać i obiad gotować.

— A mamusia?

— Mamusia teraz dopiero z miasta wróciła, ale po obiedzie pójdę z tatusiem, dobrze?

— Nie, dziecinko. Tatuś musi pójść jeszcze do biura. Już teraz z tatusiem na spacer chodzić nie będziesz, bo widzisz, teraz tatuś musi chodzić rano do jednego biura, a po obiedzie do drugiego, aby zarobić dla ciebie na sukienkę, buciki, mleczko, bułeczkę.

— Chodź już wreszcie — mówi pani Zofja z niecierpliwością, otwierając drzwi do kuchni — przychodzisz późno, czekam z obiadem, a ty tymczasem zamiast się pośpieszyć, bawisz małą. Myślisz, że ona taka mądra i rozumie, co do niej mówisz? Chodź, siadaj, mam z tobą wiele do pomówienia. Połkniesz obiad i znów polecisz, nigdy nie masz chwili czasu, aby można swobodnie porozmawiać.

— Słucham; o cóż ci chodzi? — mówi po chwili pan Karol, siadając przy nakrytym stole.

W tej chwili Marynia wnosi wazę, stawia ją na stole. Pan Karol sięga machinalnie po łyżkę i nalewa zupy na talerz.

— Musisz mi dać pieniędzy, i to zaraz; koniecznie mi są potrzebne. Muszę zapłacić rachunek za masaże, pójść do fryzjera, kupić karminu i perfum, a tu nie mam ani grosza. Są to tylko drobiazgi coprawda, ale wszystko kosztuje.

— Ależ, Zosiu droga, przecież nie dalej, jak tydzień temu, dałem ci dwieście złotych na twoje osobiste wydatki. Cóż z niemi zrobiłaś?

— Zlituj się, zapominasz, że w sobotę jest bal. Policz tylko: suknia, krawcowa, pantofle, pończochy. Widziałam dzisiaj u krawcowej toaletę dr. Jasińskiej, właśnie mierzyła, gdy przyszłam. Nie mogę przecież wyglądać, jak kopciuszek. Zresztą i tybyś sam nie chciał, aby twoja żona była najgorzej ze wszystkich pań ubrana, prawda?

— Ja, jabym chciał najchętniej, aby moja żona wcale na dzisiejsze bale nie chodziła i nie tańczyła tych ohydnych tańców i nie wystawiała swego ciała na widok publiczny, bo te obecne toalety, te łokciowe dekolty odsłaniające plecy...

— Już, już wiem, co chcesz powiedzieć, nie kończ, umiem to na pamięć. Tybyś chciał, aby twoja żona siedziała za piecem i marnowała swą młodość i życie — mówi nawpół z płaczem pani Zofja.

— No, tylko nie płacz, ty dobrze wiesz, że tak nie jest, przecież bez chodzenia na bal można żyć; jest tyle innych rozrywek bardziej kulturalnych i milszych, ale kiedy nie potrafisz żyć inaczej, to już trudno. Musisz jednakże ograniczyć jakoś twoje wydatki, bo ci już grosza więcej dać nie mogę. Przecież w sobotę będzie potrzeba znowuż całej masy pieniędzy... bilety, samochody.

— Cóż ja mam zrobić, biedna nieszczęśliwa? — lamentuje pani Zofja — inni mają, tylko my nie; czyż ja jestem co gorszego?

— Ależ, Zosiu droga, uspokój się, bądź rozsądną, nie można tak ciągle żyć nad stan, musimy przecież wybrnąć wreszcie z długów. Wziąłem popołudniową pracę, orzę przez cały dzień bez wytchnienia, myślałem, że teraz wreszcie zwiążemy jakoś koniec z końcem, że zapłacimy przynajmniej te drobne długi po sklepach.

— Ale, ale, dobrze, żeś przypomniał. Rzeźnik już nie chce dawać na kredyt, powiedział dzisiaj Marysi, że ostatni raz daje bez pieniędzy; tak samo i w sklepiku należy się coś około 100 złotych.

— No więc widzisz, a skąd ja mam wziąć? Ale wiesz, co ci powiem, tylko zgóry cię uprzedzam, abyś się nie gniewała. Nie możemy wybrnąć z długów i końca z końcem związać, bo mamy tylko jedno dziecko.

Pani Zofja zrywa się z krzesła, przybiega do męża i woła:

— Co? Coś powiedział? Dlatego, że mamy tylko jedno dziecko? Czym się przesłyszała? Czyś oszalał? Ładniebyśmy wyglądali, gdybym tak miała ze czworo dzieci, jak naprzykład Wacka.

— Nie oszalałem, wiem, co mówię. I powtarzam raz jeszcze, że gdybyś nie unikała dzieci, starczyłoby na wszystko, nie myślałabyś wtedy tylko ciągle o balach, o strojach, żyłabyś dziećmi i dla dzieci, a nie dla fatałaszków. Spójrz na Wackę, na pewno szczęśliwsza od ciebie, zawsze wesoła, zawsze w humorze.

— Wacka, Wacka, jak ona chodzi ubrana! Jak sobie sprawi jaką sukienkę, to już nosi i nosi do obrzydzenia. Różne są wymagania. Ja muszę być ubrana modnie, a nie tak nędznie, jak Wacka.

— Lekka przesada. Wacka wcale tak źle nie wygląda, chociaż nie jest modnisią. Ale spójrz na jej dzieci, zdrowe, czerwone, żywe, a nasza? Strach patrzeć, przezroczysta.

— Nie, co to to za wiele — oburza się pani Zofja — on gotów mizerny wygląd małej także mnie przypisać. Co ci się stało dzisiaj? Dlaczego dręczysz mnie i siebie niesłusznemi zarzutami? Inaczej być nie może, rozumiesz? Ja... chcę żyć!

Pan Karol macha ręką, całuje żonę w czoło i bierze za kapelusz.

— Co, już idziesz?

— Muszę. Zresztą i tak się nie dogadamy, stoimy na dwóch przeciwnych krańcach. A tak pragnąłbym, żebyśmy byli szczęśliwi; chciałbym, żeby i u nas było tak wesoło, jak u Wacki. No, ale trudno.

— 92 —

Ludzie się wysypali po sumie z kościoła i przystanęli jako zwykle na pogwarkę na starem cmentarzysku, co się ciągnęło w krąg.

Ksiądz wikary miał dzisiaj pierwszy raz kazanie, kościół był pełniuśki, że ani palca nie miałbyś gdzie wsadzić, nie tyle z pobożności, ile z ciekawości, nazlatywały się baby z obu Byczyn, z Rozdołu i aż kandyś z Orawy, żeby księdza wikarego obaczyć, stały teraz na przedpolu dzieląc się wrażeniami. Nie były korzystne.

— Moiściewy — okolista wójcina złożyła ręce na kożuchu — Bogiem a prawdą, to za krótko gadał, ani przypowiastki żadnej nie powiedział, ani nic. Narodu się zeszło tylochna a Bogiem a prawdą nie było co, ani na co patrzyć moiściewy, ani co słuchać...

— A brzydźki... ojej!

Zachichotała któraś z dziewcząt.

— Piegowaty, że no!

— A gemba od ucha do ucha...

— To i lepiej, nie będą baby la księdza latały do kościoła, jeno la Pana Boga — złośliwie zauważył Józef Pyrtek, gazda stareńki, do ziemi wiekiem przysiadły, ale ciętego dowcipu. Ubijał tytoń w fajce, oczy błękitne mrużył i słuchał, jak baby pytlowały, ale w końcu miał tego dosyć. Wyskoczył na kamienną ławkę przed kościołem i gadał:

— 89 —

Był to dworek biały z obszernym gankiem, wspartym na pękatych, polskich słupach. Gdy bryczka stanęła, w oknach pokazały się jakieś głowy a na ciemnem tle sieni stanął staruszek wysoki, lekko pochylony o błękitnych, łagodnych oczach.

Ksiądz Paweł pochylił się i pocałował go w ramię a starcze ramiona rozwarły się i przygarnęły go serdecznie:

— Na wieki wieków. Amen. Powitać księdza wikarego, powitać. Zdrożony pewno, co? Kawcia już czeka. Antosiu, rzeczy księdza wikarego należy zanieść do pokoju na górze.

Coś śmignęło w pobok, rozległ się mocny tupot bosych pięt, jakieś usta cmoknęły w rękę księdza Pawła.

W chwilę potem ogarnęło go ciepło pokoju, w którym paliło się jeszcze, pomimo, że w okna zaglądała już wiosna. Dwa kanarki rozgadywały się z sobą z dwóch sąsiednich ścian i wypełniały szczebiotem głuche, jednostajne cykanie, jak potakiwanie starczego głosu.

— Tik-tak... Tak-tak... wszystko już było, tak... tak...

Ksiądz proboszcz zauważył, że płaszcz księdza wikarego cienki i wyszarzały, ano jak wikarego, dopiero proboszcz szubę futrzaną sprawia, ale go to futro w starości gorzej

— Ciągle tylko Wacka i Wacka. Trzeba było się z Wacką ożenić, byłbyś szczęśliwym, miałbyś z pół tuzina dzieci, siedziałbyś za piecem — mówi z ironją pani Zofja. — Ale powiedz mi lepiej, jak będzie ostatecznie z pieniędzmi?

— Zosiu droga, ty wiesz, że cię kocham, chciałbym z duszy serca, ale mam tylko ostatnie pięćdziesiąt złotych. A z czego będziemy żyli? Pamiętaj, że do pierwszego jeszcze daleko.

— Daj mi te pięćdziesiąt złotych, a z czego będziemy żyli, to już moja rzecz. Zostaw to mnie, moja w tem głowa. W ostateczności zastawię swoją biżuterję.

— Ha, rób, jak chcesz — mówi pan Karol z ciężkiem westchnieniem i opuszcza dom.

* * *

Mija kilka dni, jest niedziela rano, państwo Karolostwo wrócili przed chwilą z balu.

— Proszę pani — mówi Marynia — Halusi coś się pogorszyło. Proszę popatrzeć, jest bardzo rozpalona. Gdy państwo pojechali, to ciągle wzywała mamy, a oczy to miała takie wielkie i błyszczące.

Pani Zofja pochyla się nad łóżeczkiem i cofa przerażona.

— Ależ bucha od niej gorączka, patrz, Karolku. Doktor powiedział, że to tylko lekkie przeziębienie, a tymczasem... Biegnij po doktora, to dobry człowiek, on zaraz przyjdzie.

Pan Karol spogląda na małą, na maleńkie usteczka spieczone i aż czarne od gorączki.

— Ja zostanę — mówi ze łzami w oczach — może się obudzi,. może będzie czego potrzebowała. Niech Marynia skoczy, wszak to blisko.

Pani Zofja nie odpowiada słowem, osuwa się ciężko na krzesło tuż obok łóżeczka dziecka i siedzi nieruchoma, wpatrzona w najdroższą dziecinę.

— Wacki dzieci rumiane, zdrowe, a nasza... — nasuwa się jej na myśl. — I to niby ja mam być temu winna?... Tak powiedział! Ano tak, Wacka chodzi codzień ze swojemi na spacer, Wacki dzieci były przez całe lato na letnisku, a moja? Wacka poświęca się poprostu dla dzieci, przedewszystkiem o nich myśli, dobrze je odżywia, a ja?... Ależ przecież Wacka co innego, a ja co innego, ja nie mam czasu.... zresztą nie była bez opieki, przecież Marynia była zawsze z nią — stara się usprawiedliwić sama przed sobą pani Zofja.

W tej chwili Halusia otwiera oczy, spogląda na matkę, na ojca i szepcze jakieś niezrozumiałe wyrazy.

— O, Boże, ona nieprzytomna — woła pani Zofja, załamując ręce, i podbiega do wchodzącego lekarza.

Doktor ze zdziwieniem spogląda na balową toaletę pani Zofji, na czarny strój pana Karola, na łóżeczko dziecka.

— Nieprzytomna? — pyta. — Cóż się stało? Byłem tu przecież w czwartek, nie było tak źle; myślałem, że kilka dni poleży i wstanie.

Badanie... Oboje rodzice dech wstrzymują w piersiach, — co powie lekarz? czy jest nadzieja...

— Zapalenie płuc — pada jak grom po chwili.

— Ale czy mała przetrzyma? — pyta pan Karol cicho.

— Organizm bardzo słaby, wątła, anemiczna, ale... da Bóg... W Bogu jedynie nadzieja.

Pani Zofja wydaje okrzyk przeraźliwy i pada zemdlona.

K. J.

---

grzeje, aniżeli młodego wiatrem podbity płaszcz...

— Tak... tak...

Potwierdził zegar.

Zjawiła się na stole kawa, chleb z masłem i miód z własnego ula i jabłuszka z własnego sadu, renety, co do Wielkiejnocy takie dobre, jak gdyby wczoraj z drzewiny zerwane. Panna Pelagja wysoka, zawiędła, o twarzy bez określonego wieku, w milczeniu nalewała filiżanki.

Potoczyła się rozmowa o tem, o owem, jak to zawsze, gdy ludzie się pierwszy raz zejdą i usiłują wybadać, co w którym drzemie. Bo z wierzchu to już nas kultura wszystkich zrównała, ociosała w jeden typ pospolity i przeciętny, ale w duszy, to jeszcze każdy inny.

Wreszcie ksiądz Paweł rozpytywać się zaczął z zaciekawieniem o pole przyszłej pracy.

— Macie tu jakie stowarzyszenia? Kółka? Spółdzielnie?

Księdzu proboszczowi filiżanka w pół drogi do ust zawisnęła w powietrzu:

— Nauka jest w niedziele a i tej nie bardzo kto słucha. Gazetki się sprzedaje w kruchcie, ciemny naród, mało kto kupuje.

— Bibljoteki niema żadnej?

— Oni karczme wolą niżeli książki. Ot,

morduję się z nimi od czterdziestu lat bez mała, a wyniki? Żadne! Żadne... Ot co tu długo mówić, ziemię uprawiałem przez te czterdzieści lat i mam dziś najcudowniejsze renety w okolicy, pomidory tak się udają, że szukać takich krzaków rodnych, kalafiory.. pycha! Mam goździki w barwach, że nie znalazłby ksiądz wikary takich na żadnej wystawie ogrodniczej, a ten naród obrabiałem, jak i tę ziemię, a jacy byli, tacy i są, może nawet gorsi, bo ci młodzi, to ani do Pana Boga, ani do ludzi. Martw się człowieku z nimi, kłopotaj a oni zawsze cię będą podejrzywać, że masz w tem jakiś swój specjalny interes. Zawsze idą do ciebie, jak do nieprzyjaciela. Aż mi to już i obmierzło. Aż już i ręce opuściłem i pomyślałem sobie: dziej się wola Boża, nie będę więcej rzucał pereł po przed świnie. Teraz niech ksiądz wikary spróbuje, może będzie ręka szczęśliwsza, ja ani zachęcam ani bronię. Ugor, co na nim nic nie wyrośnie, jeno chwast.

Ksiądz Paweł objął spojrzeniem starczą, zniechęconą twarz i rzekł pogodnie:

— Z pozwoleniem księdza proboszcza... spróbuję...

* * *

Cir... cir, cir...

Przekomarzały się kanarki...

— Wszystko już było... tak... tak...

Szeptał stary zegar.